Nr. 4 Rok 5 Kraków, dnia 23 stycznia 1944. 40 gr.

Ilu…owany … POLSKI

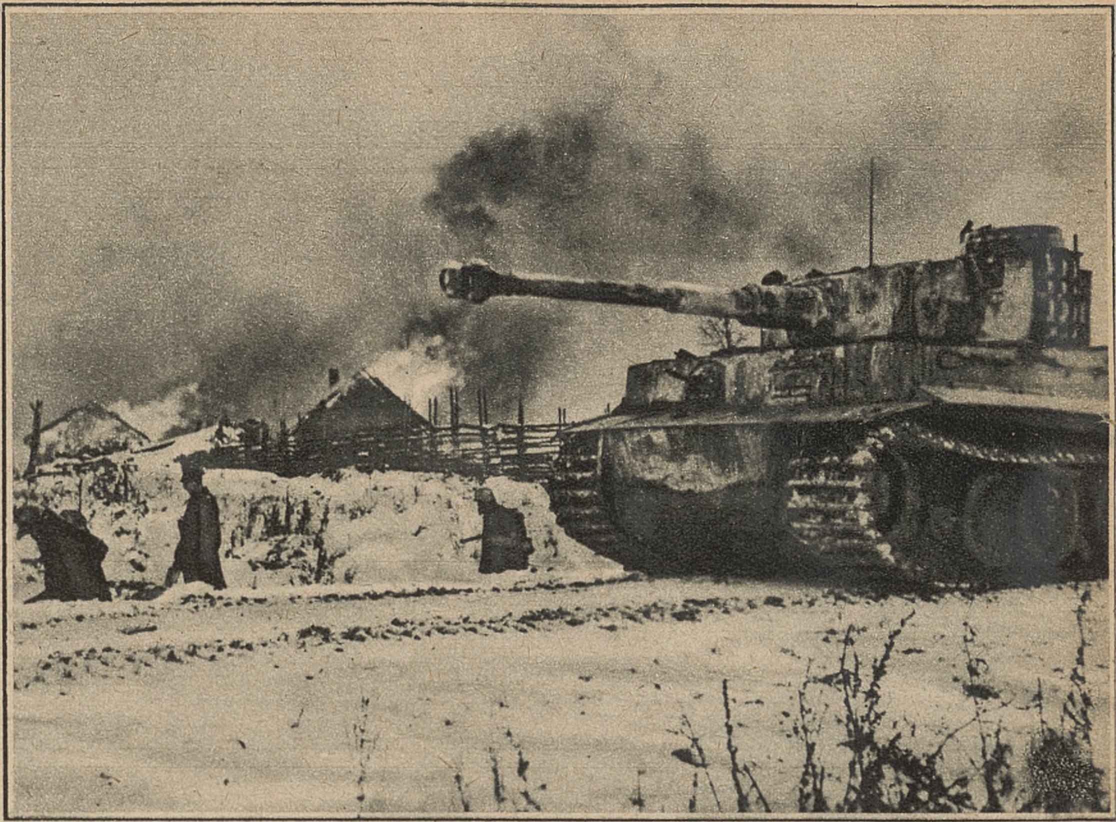


NA WARCIE

OBRAZ ERNESTA …TSCHMANNA

Z FRONTU WSCHODNIEGO





Powyżej:

KONTRATAK

Niemieckie czołgi i grenadierzy zajmują po zaciekłej walce sowiecką wieś.

Na lewo:

NA POSTERUNKU WŚRÓD ZAWIEI ŚNIEŻNEJ

Posterunek grenadierów niemieckich na północnym odcinku frontu wschodniego.

Na prawo:

PRZED BITWĄ

Żołnierze niemieccy leżą w swych prowizorycznych okopach, gotowi w każdej chwili do odparcia ataku bolszewickiego.





Na lewo:

DO ATAKU

Piechota niemiecka wyrusza na zdobycie wsi sowieckiej, zaciekle bronionej przez bolszewików. Wieś już płonie od pocisków artylerii niemieckiej.

Na lewo poniżej:

NA LOTNISKU

Start bombowców niemieckich.

Poniżej:

NOWY TRANSPORT ZAOPATRZENIOWY

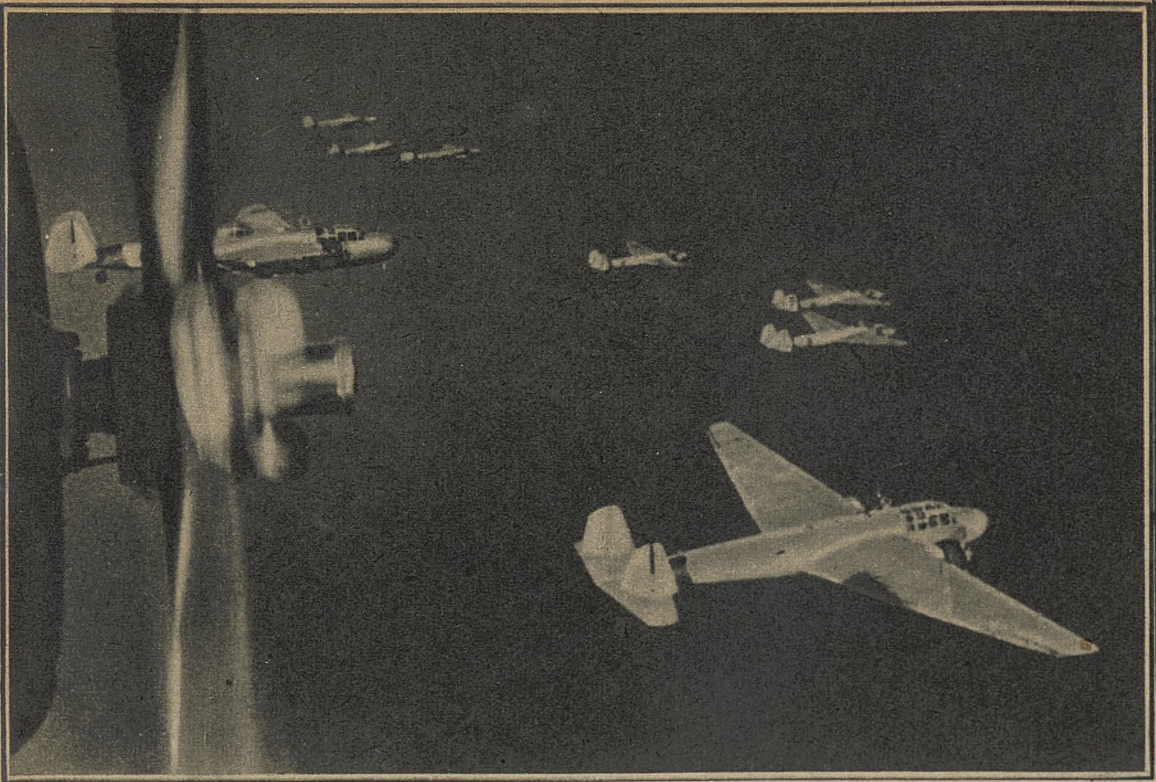
Niemieckie działa szturmowe w drodze na front.

Fot: PK -Hofstätter, Paul, Rösch -PBZ, John, Kampf -Sch, Schürer -Atl.

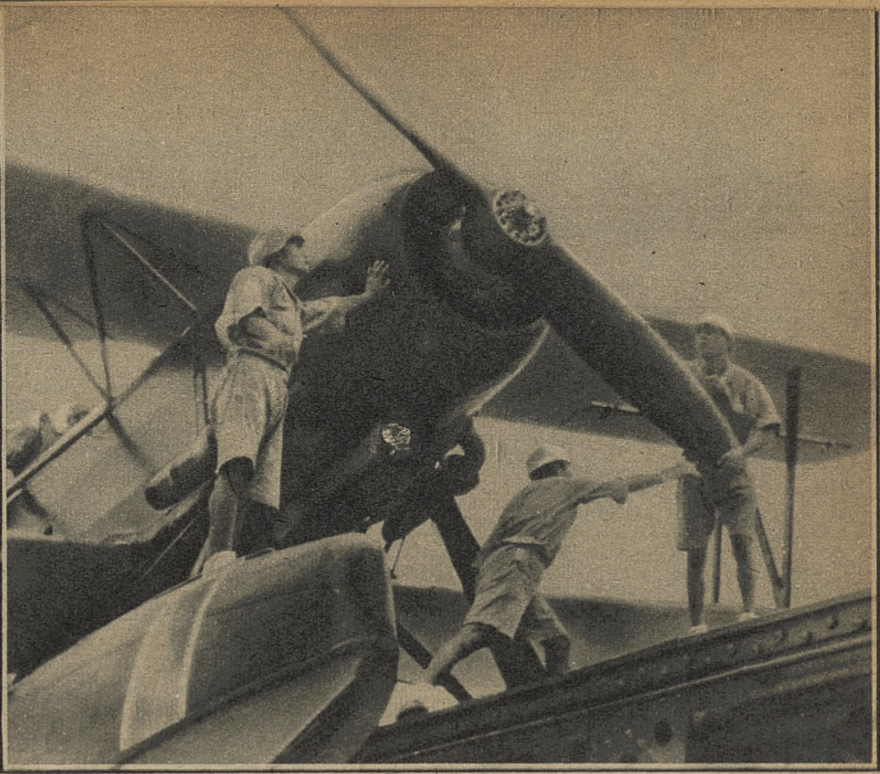




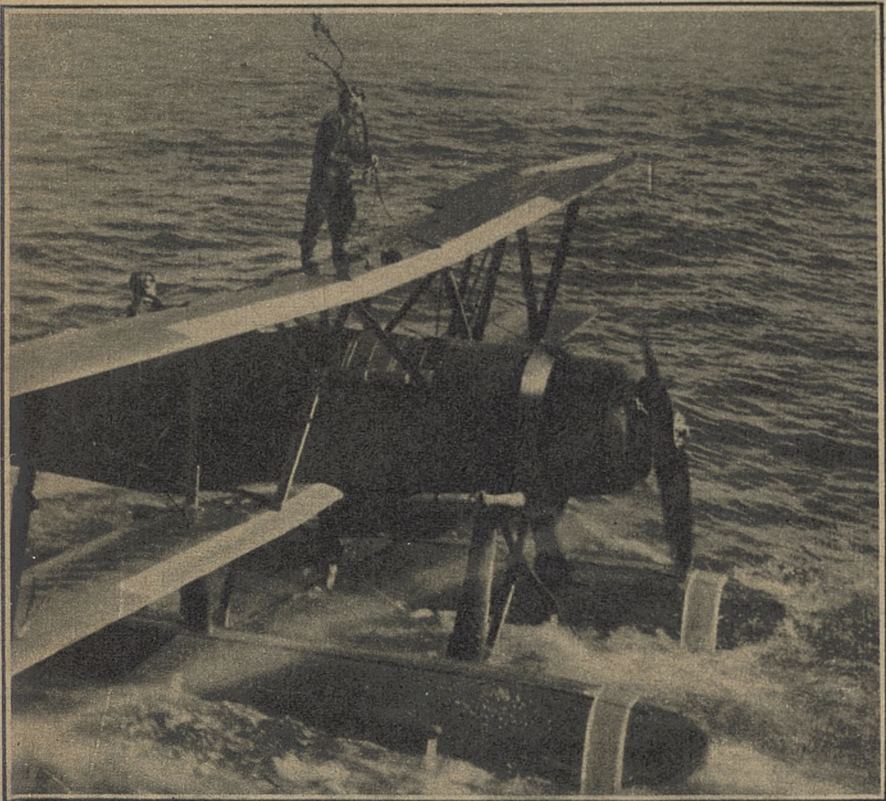
JAPONSKA BRON POWIETRZNA

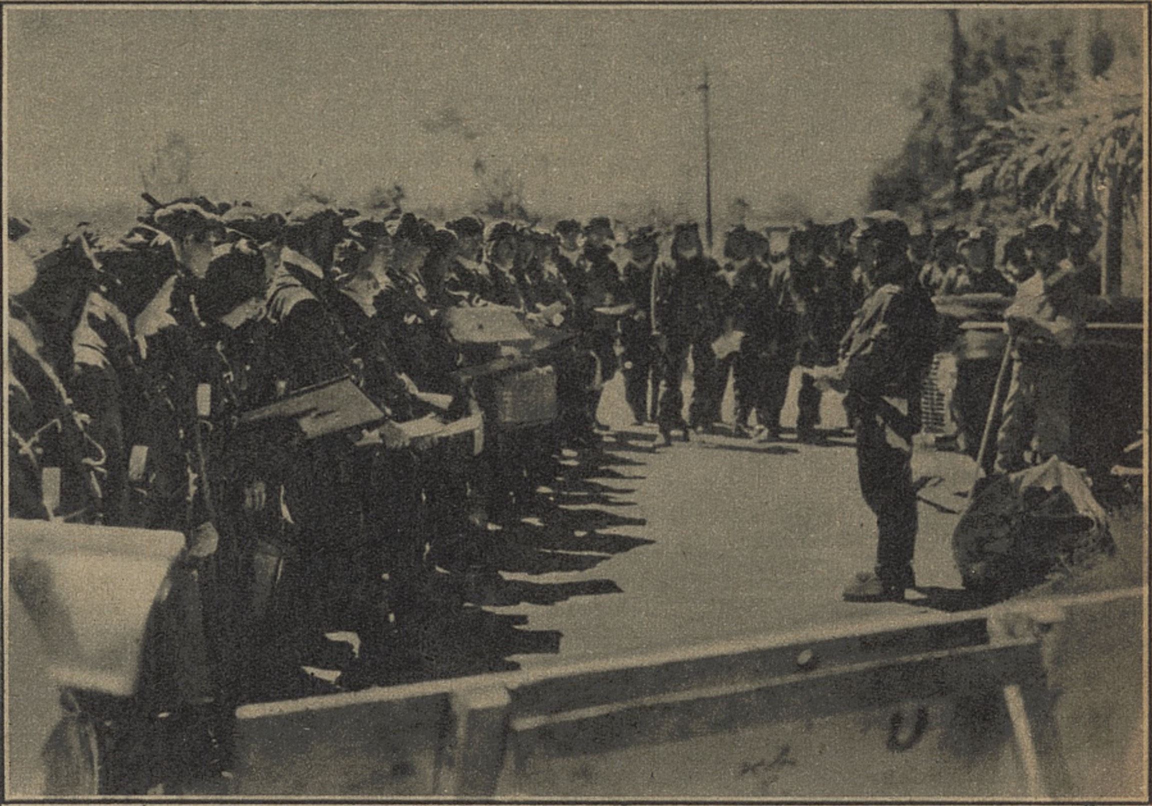


Japońskie samoloty bojowe nad Pacyfikiem. Japońska broń powietrzna stoi na wysokim poziomie i już nieraz w sposób rozstrzygający przyczyniła się do zwycięstw w bitwach morskich i lądowych.



Na jednym z japońskich lotnisk, na południowo-zachodnim Pacyfiku, przygotowuje się do startu samolot wywiadowczy.





Na lewo:
Japoński hydroplan powraca z lotu na nieprzyjaciela.

Powyżej:
Japońscy lotnicy otrzymują przed startem na wroga ostatnie instrukcje od swego dowódcy eskadry.



WOJNA NA PACYFIKU
Oddział japońskiej marynarki wojennej, który wylądował na jednej z wysp Oceanu Spokojnego, kroczy w marszu ubezpieczonym przez dżunglę.

Fot: Transocean 5

GRA ZE ŚMIERCIĄ W NURTACH KONGA





Na lewo: Fragment rusztowania, z wysokości którego dzielni rybacy spuszczają i wyciągają swoje sieci-kosze, prymitywnie sklecone z wikliny. Ponieważ kosze ustawiane są zawsze otworem do prądu rzeki, ryba raz schwytana nie może już ujść więcej.

Kongo . . . Kongo!

Oślepiające promienie słoneczne załamują się w srebrzystych falach rzeki, rzeki olbrzyma, podnosząc swym blaskiem jej ogrom, jej potęgę, jej bezmiar.

Kongo, po Amazonce najdłuższa rzeka świata, licząca od źródła do ujścia 4650 km, jej dorzecze o obszarze 1 700 000 km² zbiera wody z kotliny Kongo, wyżyny Katangi i z dorzecza jeziora Tanganika! Niebezpieczny olbrzym, obfitujący w wodospady, katarakty i wiry. Bierze swój początek ze zlania się dwóch rzek Lualaba i Luapula i wpada do Atlantyku korytem o szerokości 40 km; przestrzeń taką pociąg osobowy przebywa w jednej godzinie. Toteż rzeka Kongo „osładza" ocean na przestrzeni kilkudziesięciu km od ujścia, zabarwiając go na brunatno-żółto.

Kongo, pomimo swej dzikości i miejsc niebezpiecznych jest dzięki bogactwom kraju dość ożywioną linią komunikacyjną. Oczywiście jak na stosunki afrykańskie. Miejsca nie do przebycia dla okrętów i statków parowych zaopatrzone są wzdłuż brzegu drogą żelazną. Pomimo to nie zmienił się jej charakter i życie nad jej brzegami od życia sprzed stu, dwustu i pięciuset lat. Nieprzebyte lasy dziewicze, składające się z palm oliwnych i rafiowych, z drzew kauczukowych porosłych lianami i innymi roślinami pnącymi, zastawiające wszelki dostęp do wnętrza, rozbrzmiewają wrzaskiem i paplaniem papug, śpiewem różnobarwnego ptactwa, piskiem małp, syczeniem potężnych żmij i brzęczeniem różnorodnych owadów. Bezkresne sawanny, ciągnące się wzdłuż urwistych lub łagodnych i podmokłych brzegów, kryją w swych wysokich trawach i zaroślach antylopy, żyrafy, lwy, szakale i leopardy, a dalej słonie, nosorożce, krokodyle, jaszczurki. Niebezpieczeństwo grozi niemal na każdym kroku. Tylko nieliczne miasta wybudowane przez Europejczyków, a oddalone od siebie o kilkadziesiąt, a nawet kilkaset km, stanowią dziwny kontrast z całością krajobrazu.

Miast tych jednak jest jeszcze niewiele, bo wiadomo, że na skutek swego ukształtowania, „czarny ląd" na długi czas był niedostępny penetracji ludów białych, a poznany został dopiero w XIX w. we wnętrzu swoim. Szereg wypraw, często tragicznie zakończonych, zdobywał krok za krokiem wiadomości i wpływy, o ile takie w ogóle były możliwe, wśród mieszkańców Afryki. Toteż miasta, leżące nad brzegami tajemniczych, a obfitujących w przykre niespodzianki, nurtów Konga, powstały tylko w miejscach możliwie dostępnych, a koniecznych dla ruchu handlowego, przeważnie u początku lub końca jakiejś linii kolejowej, omijającej nieprzebyte odcinki rzeki dla żeglugi okrętowej. Miasta te są zazwyczaj miejscami przeładunkowymi dla towarów przeznaczonych na wywóz do Europy, są siedzibą towarzystw handlowych i transportowych, władz miejscowych i zapewne garnizonu wojska.

Dzielne plemię Wageniów, których widzimy na naszych ilustracjach, prowadzi swój koczowniczy żywot w pobliżu miasta Stanleyville, leżącego w samym sercu Konga, niedaleko największych wodospadów, nazwanych

Dalszy ciąg na str. 10



Na lewo: Wageniowie są mistrzami w „sporcie" wioślarskim. Najlepsi wioślarze europejscy nie mogliby się z nimi równać. Ale i pływakami są pierwszorzędnymi. Nieraz się zdarzy, że czółno pomimo mistrzowskich wyczynów obsady wywróci się na progu lub niespodziewanym wodospadzie, wówczas rybacy wykazują najlepszą „szkołę pływacką".

W kole obok: Który z Europejczyków może poszczycić się tak piękną budową ciała? Na ochotnika proszę wystąpić!... Nie krępować się moi panowie, nie zamieścimy was w Kurierku!



Poniżej: Po tej plątaninie kłód i gałęzi zręczni Wageniowie wspinają się niczym małpy, albo ludzie-muchy, których karkołomne wyczyny przyprawiały już niejednego bywalca cyrku o zawrót głowy.

Fot. Witzleben i Peters

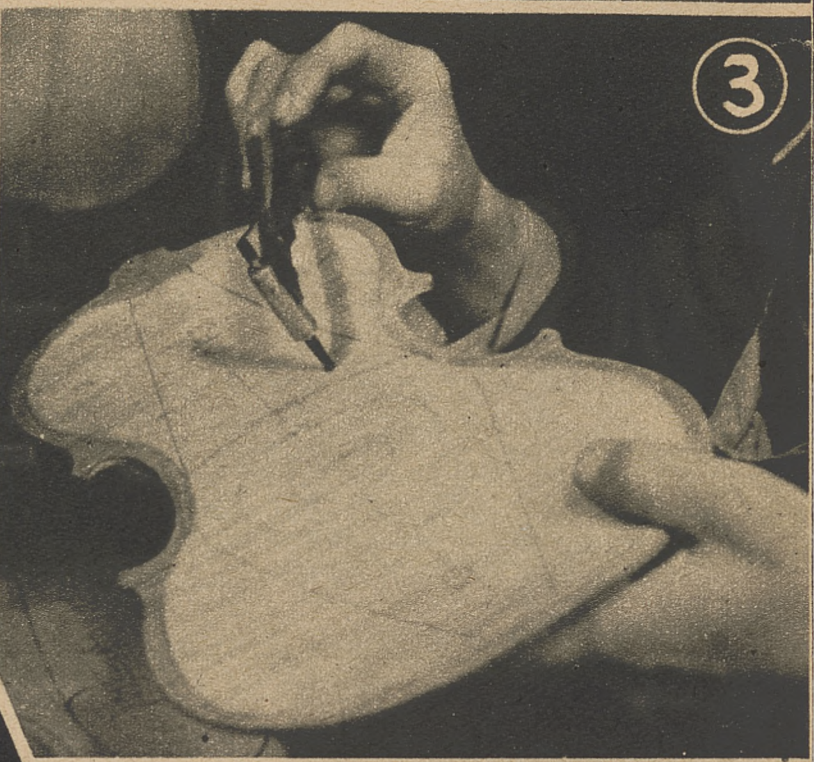


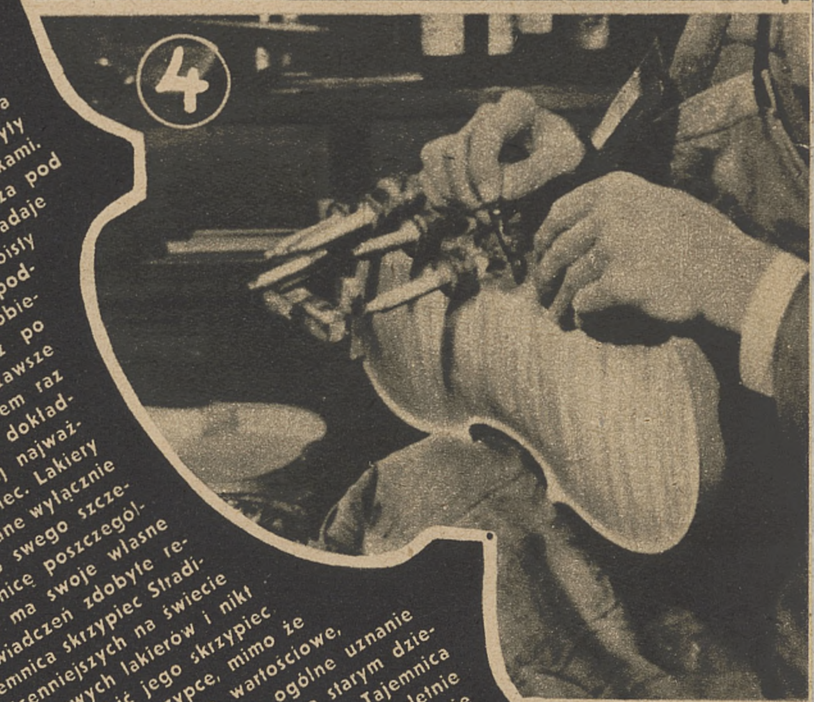
Od najmłodszych lat wdraża się dzieci tego plemienia do rzemiosła swoich ojców, wybierając jednak dla nich spokojniejsze miejsca rzeki, przeważnie zatoczki, gdzie w sieciach ręcznych łowią drobne rybki przybrzeżne. Sieci takie podtrzymywane są przez dwoje albo i troje dzieci, aby silny prąd rzeki nie porwał cennej zdobyczy.

NARODZINY SKRZYPIEC





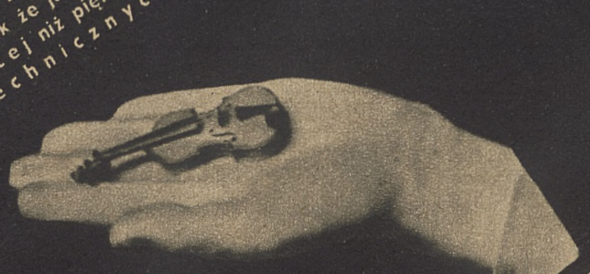








Któż bodaj kilka razy w życiu nie zachwycał się naprawdę mistrzowską grą na skrzypcach! Kto nie rozkoszował się tonami, jakie wprawne palce artysty wydobywały z tej czarodziejskiej skrzyneczki! — Dlatego sądzimy, że zaciekawi naszych czytelników podana poniżej garść wiadomości z procesu powstawania skrzypiec, zebrana w pracowni krakowskiego mistrza-wykonawcy skrzypiec, P. Kubasa. — Skrzypce rodzą się z desek świerkowych i jaworowych. Jest rzeczą godną uwagi, że nasze świerki z Worochty dostarczają najlepszego na całym świecie materiału na górne płyty skrzypiec. — (Fot. 1) Powoli z surowej deski pod ostrzem piłki wylania się wdzięczny zarys skrzypcowej płyty. — (Fot. 2) Wypukłości skrzypcowej płyty powstają przez precyzyjne rzeźbienie grubej na około 1,5 cm deski, w której po jednej stronie rzeźbi się wypukłości, po drugiej zaś odpowiadające im wklęsłości. — (Fot. 3) Stale podczas rzeźbienia muszą być bardzo dokładnie kontrolowane grubości płyty w poszczególnych miejscach jej powierzchni. Następnie boki skrzypiec po odpowiednim wygięciu wkłada się w specjalną formę dla ustalenia ich kształtu. — (Fot. 4) Wreszcie obie gotowe już płyty skleja się wraz z bokami i zaciska specjalnymi drewnianymi praskami. (Fot. 5) Rzeźbienia głowy skrzypiec jest jakby podpisem mistrza pod swym dziełem. Każdy bowiem wykonawca skrzypiec nadaje rzeźbionej przez siebie głowicy do tego stopnia swoisty charakter, że można całe skrzypce podrobić, ale podrobienie charakteru głowicy, podobnie jak podrobienie charakteru pisma jest niemożliwe. Toteż po kształcie głowicy wytrawny znawca może zawsze poznać wykonawcę. — Przed lakierowaniem raz jeszcze złożone już skrzypce gładzi się dokładnie. Samo zaś lakierowanie jest bodaj najważniejszą czynnością w produkcji skrzypiec. Lakiery i barwiki do tego używane są zestawiane wyłącznie ze składników roślinnych, a co do swego szczegółowego składu stanowią tajemnicę poszczególnych mistrzów, z których każdy ma swoje własne po długim szeregu prób i doświadczeń zdobyte recepty. W tym n. p. kryje się tajemnica skrzypiec Stradivariusa. Genialny wykonawca najcenniejszych na świecie skrzypiec zabrał do grobu tajemnicę swych lakierów i nikt nie jest w stanie w 100 procentach podrobić jego skrzypiec. P. Kubas z dumą przy tym zaznacza, że jego skrzypce, mimo że twierdzi się powszechnie iż dopiero stare skrzypce są wartościowe, w dwa tygodnie po opuszczeniu pracowni zdobyły swym tonem ogólne uznanie w r. 1941, kiedy podczas III-ciej Serenady Orkiestry Filharmonii GG. na starym dziedzińcu Biblioteki Jagiellońskiej, koncertował na nich solista, P. Roesner. Tajemnica tego sukcesu polegała też na lakierze. — (Fot. 6) Ale oto skrzypce już kompletnie złożone i polakierowane, struny naciągnięte, a przychodzi kolej na dopasowanie podstawki, co też nie jest bez wpływu na ton. Najważniejszą jednak czynnością przy wykańczaniu skrzypiec jest przypadające na ostatku wprawienie i ustawienie „duszy", tego tajemniczego drewienka, łączącego obie płyty skrzypiec, od umieszczenia którego zależy głębia tonu. — Prócz „prawdziwych" skrzypiec pokazuje mistrz gościowi zwiedzającemu jego pracownię również maleńki instrumencik, nie wiele większy od palca. Są to skrzypki zbudowane w najdrobniejszych szczegółach tak, jak skrzypce normalnej wielkości, tak że jakiś karzełek mógłby śmiało wygrywać na nich melodie. Są one czymś więcej niż piękną tylko zabawką, świadczą bowiem także o wielkich technicznych umiejętnościach ich twórcy.



Najmniejsze skrzypce „grające" wykonane przez P. Kubasa.

Tekst i fot.: W. Walczak

LUCIANO ZUCCOLI

Świstak

z włoskiego tłum. JERZY SOPLICA

2-gi ciąg dalszy

— Zrozumie pan zaraz, — tłumaczyła Estella... Kupiłam „Almanach des cocottes", a wuj wyrwał to z ręki i powiedział, że to literatura nie dla mnie...

Zatrzymała się, widząc, że Giuliani zanosi się od śmiechu i ma oczy pełne łez.

— „Almanach des cocottes"! — powtarzał. — Bajeczne! I gdzież to pani wyszperała? Bo to istotnie trzeba polować na taki „Almanach". Naturalnie, to też jest książka do czytania... Nie, to bajeczne, bajeczne...

Estella była oburzona. Patrzyła ze zdumieniem na Ernesta i na Tulia, który śmiał się również, pociągnięty wesołością przyjaciela i twarzyczka dziewczynki zachmurzyła się a brwi ściągnęły.

— Ty i on — powiedziała do Sciary — umówiliście się, aby się ze mnie wyśmiewać, a ja proszę o mój „Almanach".

— Zapewniam panią, — odpowiedział Giuliani, ocierając oczy — zapewniam panią, że nikt się z pani nie śmieje. Nie odważyłbym się na coś podobnego. Śmiejemy się z tego, że pani chce koniecznie czytać o papierowych konikach...

— O konikach! — mruknęła — przecież na okładce była śliczna, wydekoltowana pani...

Giuliani znowu śmiać się począł, lecz zmartwiona twarz Estelli i żałosne drżenie usteczek skłaniały go do powagi. Zmuszał się do myślenia o najstraszniejszych wypadkach, o spotkaniu się pociągów, o powodzi i ostatnich nieszczęściach, wyczytanych w gazetach, wreszcie udało mu się spoważnieć.

— Co pani robić będzie w Bellagio? — zapytał, aby zmienić temat rozmowy. — Pobyt tam w obecnej porze roku nie zalicza się chyba do szczególnych przyjemności.

Estella poczęła opowiadać o swoim życiu. Ona sama zajmuje się domem. Ojciec jej jest lekarzem a mama nie żyje już od wielu lat. Pilnuje, aby gospodarstwo szło dobrze, aby mieszkanie było utrzymane w należytym porządku, aby śniadanie i obiad były podane na czas i przy tych zajęciach dzień schodzi niespostrzeżenie. Jeśli pozostanie jej trochę czasu, czyta książki, podarowane jej przez ojca, takie stare książki, które już od dawna prawie umie na pamięć. Wiosną i latem jest wiele rozrywek, a ona ma kilka przyjaciółek pomiędzy letniczkami. Lecz do nich nie przychodzi nikt, gdyż ojciec nie ma czasu zaprzątać sobie głowy wizytami i przez całą jesień i zimę biedna Estella musi pozostawać sama.

— Czasem, — mówiła dalej — ciotka Anna przyjeżdża i zabiera mnie do Mediolanu, lecz trudno mi być zawsze w zgodzie z ciocią; jest zanadto pedantyczna i po ośmiu dniach pobytu u niej, ja myślę o wyjeździe, a ona o tym, jakby mnie się pozbyć...

Zamilkła na chwilę, po czym przypominając sobie swoją rolę, zwróciła się do Tulia i dodała z zupełną pewnością siebie:

— Dlatego to, wujaszku, gdy ty, przyjeżdżasz, jest wtedy wielkie święto — nieprawda? Wuj przywozi mi zawsze dużo podarunków, wiele pięknych rzeczy z Mediolanu, a ja go bardzo kocham. Nie, za podarunki, rozumie się, lecz za jego uprzejmość, za to, że nam dotrzymuje towarzystwa i tak mile prowadzi z papą zajmujące rozmowy...

Tulio był zdumiony. Słuchał opowiadania, ukrywając z trudem podziw dla fantazji młodej dziewczyny, która ze szczegółami opisywała pożycie z wujem z komedii i wyrażała się o nim z czułością. On myślał tymczasem, że już od lat sześciu noga jego nie pozostawała w Bellagio i że nie wiedział nawet, gdzie się znajduje dom jego siostrzenicy.

Lecz Estella opowiadała tak obrazowo, z takim opanowaniem tematu, nadawała taki ton wiarogodności anegdotom i drobiazgom, że Ernesto Giuliani był porwany obrazem tego prostego życia rodzinnego i nie mógł ukryć swojego entuzjazmu.

— Masz skarb — powiedział do Tulia — masz skarb z twojej siostrzenicy! Musisz bardzo dbać o nią, bo ona cię bardzo kocha!...

— Cóż to za żmijka — pomyślał Tulio.

A głośno odpowiedział:

— Tak, jestem z niej dumny... Zresztą słyszałeś „jestem uprzejmy, przynoszę jej podarunki"... czynię, co mogę.

Estella nawet nie mrugnęła okiem a na ustach jej nie pojawiło się nawet najlżejsze drgnienie uśmiechu; być może, iż poczynała naprawdę wierzyć w to, że jest siostrzenicą Tulia Sciary...

Gdy pociąg, wjeżdżając na stację zwolnił biegu, Ernesto Giuliani wyraził swe uwielbienie i powtórnie polecił piękne dziewczę względom wuja. Estella przyjęła pochwałę skromnie, z oczami spuszczonymi, lecz z godnością i pewnością siebie.

V.

Woźnica, któremu Tulio kazał jechać do przystani, uczynił uwagę, że nie ma statku odchodzącego o tej godzinie. Tulio upierał się, że idzie statek wprost do Bellagio. Woźnica, uśmiechając się, odpowiedział, że statek ten odchodzi warunkowo, a ponieważ tego dnia nie było towarów, statku też nie będzie. Tulio przerzucił rozkład jazdy i spostrzegł swoją pomyłkę.

Stropił się i przeraził.

— Nie ma statku, — powiedział drżącym głosem. — Co robić? Trzeba spędzić noc razem.

— Tym lepiej, — odpowiedziała Estella, śmiejąc się. — Pójdziemy do teatru.

— Do jakiego teatru! — zawołał Tulio, wybuchając gniewem. — Zaprowadzę panią do jednego hotelu, a sam pójdę do drugiego.

Estella złożyła ręce z wyrazem gwałtownego przerażenia.

— Na miłość Boską, niech mnie pan nie opuszcza! — Bała się pozostać sama w hotelu: co sobie o niej pomyślą? Jakże mogłaby spać? Zamknąć się na klucz? — dobrze — lecz któż zapewni, czy w sąsiednim pokoju nie ukrywa się złodziej? Umarłaby ze strachu.

Zbladła i drżała tak bardzo, że Tulio nawet się nie starał przekonywać jej; zdawało się, że nie jest tą samą, która przed chwilą odgrywała komedię z taką nadzwyczajną zręcznością.

Sciara nie protestował, dał powożącemu adres hotelu i siedział zrezygnowany a Estella śmiała się ucieszona i ściskała mu ręce w porywie wdzięczności.

W hotelu Tulio opowiedział, że młoda panienka jest jego siostrzenicą i zażądał dwóch pokojów obok, lecz oddzielnych. Odwróciwszy się spostrzegł, że twarzyczka Estelli stała się purpurowa i że Estella miała minkę bardzo zmieszaną.

— Nareszcie — pomyślał — rozumie trudność mojej sytuacji...

Lecz zakłopotanie Estelli zniknęło bardzo prędko; wchodząc po schodach zbliżyła się do Sciary i powiedziała półgłosem:

— Jeszcze siostrzenica? Jakże mi się to podoba!...

Tulio przymknął raptownie oczy. Chłód i panowanie nad nerwami opuściły go. Nieprzewidziana poufałość, wywołana przebytymi scenami mąciła mu myśl i nie zdobył się na odpowiedź dziewczynce, dumnej z tego, że się znajduje pod jego opieką.

Pokoje ładne, przyjemne i dobrze oświetlone sprawiały miłe wrażenie. W każdym był kominek i stół pośrodku.

Estella kazała przynieść drzewa do kominków i odesłała pokojówkę. Chciała sama rozpalić ogień w pokoju Tulia.

Zdjąwszy kapelusz i rzuciwszy rękawiczki, uklękła przy kominku, ułożyła najpierw drewka cieniutkie a potem grube, rozpaliła ogień i pozostała tak, patrząc na ogień, szerzący się po trzaskających polanach.

Tulio, siedząc we fotelu, patrzył na jej wdzięczną postać i na sploty złotych włosów, na których ogień kładł migotliwe odblaski.

Nie widział niczego wdzięczniejszego nad linie jej drobnej postaci, może zbyt jeszcze szczupłej, ale pełnej czaru, podobnej do pąka pięknego kwiatu w przededniu jego rozwoju.

Ona, nieświadoma swego uroku klęczała przed kominkiem i patrzyła na żółte i błękitnawe płomienie, jakby gubiąc się w jakim marzeniu.

Nagle zbudziła się i zerwała na nogi.

— Za pięć minut pokój się rozgrzeje! — wyrzekła żywo.

Tulio uśmiechnął się w milczeniu.

— Dobrze tu — mówiła dalej szybko. — Czy nie uważa pan, że tu jest bardzo dobrze? Nikt nie wie, że jesteśmy tutaj: prawdziwa ucieczka. Ciotka myśli, że jesteśmy już w Bellagio, albo, że niedługo tam przybędziemy. A tu tajemnica, sekret!

Sciara przerwał: — Proszę posłuchać. Nikt i nigdy nie powinien wiedzieć, że przepędziliśmy noc w hotelu. Nigdy — czy pani to rozumie? Jutro wyjedziemy bardzo rano, ojciec pani sądzić będzie, iż przybywamy wprost z Mediolanu, a pani nigdy i nikomu nie powie o dzisiejszym wieczorze. Czy pani mi to przyrzeka?

— Przyrzekam, — odpowiedziała Estella poważnie.

— Może mnie pani nie rozumie — dodał Tulio. — Zrozumie pani później, gdy pani pozna świat i jego niegodziwości. Niech pani mnie posłucha, jeśli pani ma do mnie zaufanie.

Odpowiedziała słodko: — Naturalnie, że posłucham. Ufam panu.

Tulio uśmiechnął się, patrząc na nią. Była tak spokojna i niewinna, że prawie zawstydził się.

— No, siostrzenico — rzekł śmiejąc się — czy zejdziemy na obiad?

— Nie śmiałam tego powiedzieć — odrzekła Estella z lekkim rumieńcem, — lecz jestem głodną jak wilk a raczej jak wilczyca.

— Chodźmy więc, mała wilczyco!

I Tulio tak bardzo czuł się panem siebie, że otoczył ramieniem delikatną kibić dziewczynki i sprowadził ją do sali jadalnej.

VI.

W obszernej i oświetlonej sali nie było nikogo. Stoliki były przygotowane, nakryte, obstawione krzesłami ale biesiadników nie było. Estella, promieniała swym bezwiednym, młodocianym wdziękiem. Obiad był wesoły. Tulio i dziewczynka jedli z apetytem i rozmawiali żywo. Aczkolwiek Estella nie pijała wina, nie powiedziała o tym swemu towarzyszowi i pozwoliła podać sobie kieliszek łagodnego wina, które rozbudziło w niej niezwykłe ożywienie.

Śmiała się i opowiadała. Opowiadała różne drobne wydarzenia ze swego życia, wycieczki ze swoimi przyjaciółkami w Bellagio a Tulio podziwiał niewinność i czystość tych dziecięcych psot, które dziewczynka uważała za wielką przebiegłość i złośliwość ze swej strony. Siedział wprost naprzeciw niej, wpatrzony w jej błyszczące wesołością oczy i zapomniał o kłopotliwym wydarzeniu, które go jeszcze przed chwilą drażniło.

— Nigdy jeszcze nie piłam szampana, — rzekła nagle Estella.

— Więc? — zapytał Tulio żartobliwie.

— Więc... chciałabym się napić — uśmiechnęła się.

— O, co to, to nie — odpowiedział Sciara.— Nie powinien wujaszek ofiarowywać szampana siostrzenicy. Szampan to wino na wszelkie uroczystości...

— Niech mi pan pozwoli spróbować, — prosiła dziewczynka głosem pieszczotliwym. — Jeśli nie spróbuję dziś, w ten tajemniczy wieczór to kiedyż później?

— Cóż to za logika?

— Przyrzekłam nie mówić nigdy, że przepędziłam noc w hotelu z panem, więc też i nie powiem, że piłam szampana. Będzie to sekret, który mi sprawi taką wielką przyjemność.

Pochyliła się naprzód, prosząc go błękitnymi oczami i pokazując w uśmiechu białe i drobne ząbki. Tulio gładził brodę, zamyślony.

— Boję się, że pani zaszkodzi, zdaje mi się, że pani nie jest przyzwyczajona do wina.

Estella wybuchnęła śmiechem; gdybyż Tulio wiedział, że nie była, przyzwyczajona do żadnego!

— A jeśli się pani upije... — ciągnął Sciara.

— Niech mi pan da spróbować — umaczam sobie tylko koniuszek języka — nastawała dziewczynka. — To jest kaprys, ja wiem, ale — nie będę już mieć żadnych kaprysów. Obiecuję to panu. Potem będę bardzo dobra.

Obiecała mi pani być posłuszną bez żadnych warunków, — zauważył Tulio.

— Ma pan słuszność... przepraszam...

Widząc ją poczuwającą się do skruchy, Tulio, sam nie wiedząc dlaczego, kazał przynieść szampana.

Gdy zobaczyła jak zapieniło się w kieliszkach złotawe wino i przybierało mieniące się barwy topazu, nie mogła powstrzymać okrzyku radości. Szampan był nieco słodki i Estella, zamiast umaczać koniec języka, wypiła cały kieliszek.

— Przepyszny! — wyrzekła z przekonaniem. — Jestem panu bardzo wdzięczna. Chciałam się napić szampana, ponieważ moje przyjaciółki piły go nieraz... teraz i ja taka mądra jestem jak i one.

— Lecz nie może im pani tego powiedzieć, — rzekł Tulio, uśmiechając się.

— Cóż z tego? Jak się coś wie, to się wie. Ja chcę wiedzieć dla siebie. A jeżeli przyjaciółki będą jeszcze mówić o szampanie, to się uśmiechnę a nikt nie będzie wiedział dlaczego.

Po obiedzie poszła Estella do swego pokoju, aby włożyć kapelusz.

Chciała wyjść i zobaczyć mody w Como, a właściwie chciała znaleźć pretekst do przechadzki pod portykami i po Lungolario. Tymczasem Tulio przejrzał rozkład odejścia statków. Aby zachować pozór, że przyjechali wprost z Mediolanu, trzeba było wyjechać o dziewiątej i pół rano.

Wydał polecenie służącemu.

Estella wróciła orzeźwiona. Miała na szyi kołnierz z czarnego futra.

— Wydobyłam z walizy mojego kota — rzekła, — bo strasznie zimno.

Wyszli.

Jakże zimno, jak zimno w Como, w tym czasie. Szczytu Biobino nie można było dojrzeć, gdyż cały był pokryty szarawą chmurą, chłodny wiatr dął i falował powierzchnią jeziora, która się marszczyła, jak w dreszczu. Z podniesionym aż do uszu kołnierzem, z oczyma spuszczonymi ku ziemi, aby ominąć śnieżne pagórki, którymi był pokryty plac Cavour, Tulio Sciara towarzyszył Estelli w tej dziwnej przechadzce; biegli obydwoje.

Oglądali mody w sklepach pod portykami, Estella opowiadała, że się ubiera zawsze w Mediolanie, gdzie się płaci drożej, ale jest się ubraną według ostatniej mody.

— Prawda, że się ubieram bardzo ładnie?— zapytała Tulia.

— Jak laleczka, — powiedział Tulio, oglądając ją od stóp do głów uważnie. — Nawet w tym futrze bardzo pani do twarzy i dobrze, ponieważ jest ciemne i odbija od włosów i kolorytu twarzy...

Skierowali się drogą wzdłuż jeziora, lecz było zupełnie ciemno i smagał ostry wiatr. Estella szła z głową pochyloną, w sukni obciśniętej, mrugając powiekami z powodu szalejącego wiatru. Tulio nacisnął kapelusz na oczy, szedł nie zwracając uwagi na żarty dziewczynki, która się wyśmiewała z jego sposobu chodzenia.

— Niech pan uważa, żeby nie wpaść do jeziora, — przestrzegała od czasu do czasu. — Przestraszy pan ryby!

Wiatr porwał mu kapelusz i musiał biec za nim, aby nie wpadł do wody, a dziewczynka śmiała się głośno i dźwięcznie, śmiechem, który płynie z duszy, nie znającej fałszu.

— Teraz wracamy, — rzekła poważnie gdy Tulio szedł znów u jej boku. — Panu zimno i nie chcę, żeby pan cierpiał z mego powodu. Ja się już zupełnie odświeżyłam.

— Odświeżyła się pani... — powtórzył Tulio. — Czy pani było gorąco?

Dokończenie w następnym numerze

Brylanty

Idę na planty
wieczorem kiedy śnieg taki miękki pada... pada...
Na gałęziach, na drzewach chmara płatków siada
i błyszczy jak brylanty.

Idę między drzewami wzdłuż białej uliczki
co cicha jest wieczorem i pusta.
Płatki śnieżną pieszczotą muskają policzki
i na gorących mi topnieją ustach.

Niosę w sobie przedziwne i spokojne szczęście
co z tej cudownej bieli spływa do mej duszy.
A śnieg kobiercem srebrnym kroki moje głuszy
i wielkimi płatkami pada coraz gęściej.

Idę przez planty
jak przez kraj bajki, zaklęty, uroczy...
Książę-Czar mnie ramieniem leciutko otoczył
i rzucił mi pod nogi śniegowe brylanty.

W blasku latarń na okiść spoglądam maleńką
okiść śnieżną, prześliczną, co ku ziemi zwisa
jakby chciała igłami srebrnymi napisać
że i w niej także zawarte jest Piękno.

I wtedy... ach... chciałabym sama być tak białą
gdy tak idę wieczorem przez uśpione planty.
Wydrzeć z serca kamienie a zasiać brylanty
by tego Piękna co jest wokół być choć cząstką małą....

Idę wieczorem przez planty........

Krystyna Wodnicka

KRYSTYNA WAJCHT

RAMKA Z KOŚCI SŁONIOWEJ

Dyżurny chirurg szybkim ruchem otworzył drzwi separatki, do której przed chwilą przywieziono chorego.

Leżał spokojnie z szeroko otwartymi, czarnymi oczyma, w których czaiło się nieludzkie cierpienie. Twarz jego była tak szara, że wydawała się brudną plamą na białej, szpitalnej poduszce.

Siostra Małgorzata w milczeniu podała termometr... doktór spojrzał na niebieskawy słupek rtęci i zmarszczył czoło. Chory drgnął i ręką nakazał lekarzowi, by pochylił się nad łóżkiem. Zatopił w jego oczach niesamowity, pałający wzrok i cedził wolno, stanowczo przez zaciśnięte bólem zęby:

— Ja wiem, że umrę... nie, proszę nie zaprzeczać!... Błagam tylko, doktorze... cały mój majątek do pańskiej dyspozycji... muszę... doczekać rana... o ósmej wróci moja żona... była na letnisku... nadana już depesza... ja muszę...

Długie, drapieżne palce oplotły dłoń doktora: — Ja muszę!...

— Więcej spokoju, panie! Wygotowały się już narzędzia, za pół godziny pójdzie pan na salę, operacja na pewno się uda, na pewno!

Chirurg wiedział, że na operację było już za późno, tego nie wolno jednak powiedzieć, tak, jak nie wolno uchylać się od ostatniej, choćby spóźnionej szansy ratowania gasnącego istnienia.

Chory spojrzał na zegarek: pierwsza w nocy... powinna już wyjechać...

Siostra Małgorzata zbliżyła się ze strzykawką:

— Damy panu morfinki, żeby nam pan szybciej zasnął — powiedziała z beztroskim uśmiechem.

Igła wsunęła się gładko w zwiotczały mięsień bezwładnej ręki.

A potem został sam...

— Więc umieram — szepnął bladymi wargami.

Umieram! Obcy, bezdźwięczny wyraz, obojętne słowo nie wywołujące grozy w sercu zmęczonego cierpieniem człowieka. Wszystko stało się takie dalekie!... i tamte, dawne dni i walki i praca, tylko... O n a!... Może źle, że tamta depesza przerwie jej zabawę, że odbije się przerażeniem na jej pięknej twarzy... może nie trzeba było?... Nie można jednak cofnąć tego, co już raz... Nie można w ogóle już nic, prócz tego beznadziejnego czekania na nóż, który...

Znowu otworzyły się drzwi. Dwaj posługacze złożyli go na noszach i zaczęła się uciążliwa wędrówka w dół schodów... Przymknął oczy... morfina szumiała w głowie... plątała myśli...

Podtrzymywany lekko wszedł na wąski, ach, chyba za wąski, stół operacyjny. Położył się z uczuciem, że wiruje na jakiejś białej, śmiertelnej karuzeli. Światło wielkiej, okrągłej lampy krzyczącym blaskiem wdzierało się pod powieki. W rogu sali, chirurg z młodym asystentem szorowali ręce. W śmiesznych czepeczkach na głowach wyglądali jak kucharze... uśmiechnął się... jak kuchciki z restauracji, do której tak lubiała wieczorem...

Przywiązano go białym, płóciennym sznurem. Na ciało wystąpiła „gęsia skórka". Jak zimno!...

— Niech siostra daje już narkozę!

Przykryła mu nos i usta ciasnym kagańcem z gazy. Padły pierwsze krople eteru. Zaczął się wtedy modlić, zaczął się modlić... do n i e j!

— Najdroższa moja, cudna, nie spóźnij się, ten jeden, jedyny raz, błagam, ukochana!...

Eter drapał w gardle, dusił, przytłaczał.

— Niech pan liczy, proszę głośno, wyraźnie liczyć!

— Raz... dwa... trzy... Liczyć!... całe życie ciągle się liczyło... a O n a?... O n a tak nie lubiła cyfr!... cztery... pięć... sześć... Jakaś ciężka zmora kładzie się na piersi, nie można już dłużej!

— Liczyć, proszę liczyć, wciąż liczyć!

Więc od początku: — raz... dwa... trzy...

— Liczyć, ciągle liczyć! — głos siostry coraz bardziej oddala się, ginie, niknie...

Biją teraz dzwony!...

...A potem leciał gdzieś w przepaść! Potworny to był lot, dławiący strachem przed zetknięciem się z czymś niewiadomym, co musiało czekać w dole... z ziemią?...

...Nie... to nie była ziemia! Po prostu... taki sobie zwykły, najzwyklejszy gabinet z dużym, dębowym biurkiem, a na biurku... o, Chryste... ramka! Ramka z kości słoniowej, w której śmieją się usta, najrozkoszniejsze z ust, w której nagie, toczone ramiona... Ach, co za wściekły ból!... Wyciągają się ręce... ramka zrywa się z biurka, zrywa się pędzi, biegnie! Schwytać ją!... Och, czy ciągle uciekać będzie w dal?!... Wreszcie trzyma ją! Tak... teraz rzucić z wściekłością na podłogę, deptać nogami, łamać, kruszyć, o tak!... Wypada fotografia... „Mojemu słodkiemu Markowi na pamiątkę nocy..."

Oszalały, nieprzytomny krzyk wyrywa się ze ściśniętego gardła!...

— No, obudził się pan! Już po wszystkim!

Błędnym wzrokiem obrzuca ściany wąskiej separatki... Chirurg nachyla się nisko nad nim, czekając na pytanie, na które nie można dać odpowiedzi, nie można wyznać temu dziwnemu człowiekowi o niesamowitych oczach, że nie zaszył nawet rany, że ropa rozlała się po kiszkach, zapalenie otrzewnej, że za późno, że...

Chory wybełkotał zduszonym szeptem:

— Ramka... ramka z kości słoniowej...

Twarz chirurga pokryła się kredową bielą.

— Ramka? — powtórzył i wolno wziął do ręki kartę chorobową zwisającą z poręczy łóżka: „Maciej Brózda, lat 45".

Cofnął się gwałtownie w niemym przerażeniu.

Czarne, wytrzeszczone oczy paliły mu twarz, wdzierały się w duszę pałającym ogniem...

— Jaka ramka? — wyszeptał opierając się o ścianę.

Chory zaśmiał się nerwowym, urywanym śmiechem:

— Mojemu słodkiemu Markowi... ramka... ramka z kości słoniowej!

Na czoło chirurga wystąpiły krople potu. Ujął przegub szczupłej ręki i próbował spokojnie liczyć tętno.

— Która godzina, doktorze? — spytał przytomnie chory.

— Piąta — odpowiedział cicho.

— Ile godzin... jeszcze?

Nie można było dłużej kłamać:

— Jeszcze... trzy godziny!

— Więc jeśli się nie spóźni... nie spóźni się, doktorze, prawda?

— Na pewno się nie spóźni!

Doktór nie odchodził. Nie mógł odejść od człowieka, który znał tajemnicę ramki z kości słoniowej!

Wolno wlekły się minuty wiodące Macieja Brózdę do kresu ziemskiej podróży.

Lekarz z wyraźnym zdenerwowaniem spoglądał na zegarek.

— Która... godzina... doktorze...

— Ósma!

— Jeszcze jej nie ma! Spóźni się... jak zwykle... ale ja doczekam... m u s z ę !

— Co za stalową wolę ma ten człowiek! — myślał doktór, czując jak koszula przykleja mu się do pleców.

— Która... godzina?...

— Dziewiąta!

— Ja... długo już... nie wytrzymam... niech jej pan powie...

W tej chwili otworzyły się drzwi... Wionęło zapachem mocnych perfum.

— Co się stało, na Boga?!

Doktór nisko spuścił głowę.

— Jesteś... wreszcie jesteś! — głos chorego był świszczący i przerywany — chciałem się z tobą pożegnać... wybacz, przerwałem ci zabawę... ale przecież całe życie... tobie... Nie płacz!... nie chcę!... A... ta... ramka... z kości słoniowej... wybaczam!... Pamiętaj ja... ciebie...

Słowa ugrzęzły mu w gardle.

Ostatnim wysiłkiem wyrzucił:

— Wyjdź!... Nie chcę, byś... no, wyjdź!

Po chwili znalazł ją doktór na korytarzu jak paliła nerwowo papierosa.

— Umarł! — wyszeptał bojąc się dźwięku swoich słów.

— Więc... więc wolna, tak, Marku?!!!

Ze wstrętem odrzucił jej dłoń:

— Nigdy mi nie mówiłaś, że on ciebie tak kocha, a ty... a ty jesteś podła!!!

— — — — — — — — — — —

Wrócił z niezłomnym postanowieniem, że wrzuci w ogień ramkę z kości słoniowej, niech spłonie, zniknie, niech...

Ramka... mała, biała ramka z kości słoniowej... leżała zgnieciona na środku pokoju i drwiła z niego dedykacją rzuconej fotografii:

„Mojemu słodkiemu Markowi..."

— Widocznie przeciąg — wybełkotał, spoglądając na otwarte okno. Zbliżył się nieprzytomnie do niskiej szafki i jednym haustem wychylił kieliszek wódki, napełnił go potem jeszcze raz i jeszcze raz, aż gdy stanął przed nim rząd pustych flaszek, rzucił się w tył na fotel, mamrocząc w jakimś męczącym, wściekłym szaleństwie:

— Ramka... ramka z kości słoniowej!...

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

„Rendez-vous"

KAZIMIERZ LAUDAN

Właśnie zadzwonił telefon. Emil zdjął słuchawkę.

— Hallo, tu firma Romański i Ska.

— Hallo, tu mówi firma Czapski i Synowie. Prosimy o przysłanie dwóch beczek oliwy. Gatunek ten sam, co w poprzednim zamówieniu. Ale prosimy o pośpiech...

— Życzenie takiej ślicznej osóbki, jak pani, jest dla mnie rozkazem!

— Skąd pan wie, że jestem śliczną osóbką?

— Ależ proszę pani, czy kobieta o takim głosie, może być brzydką?

— Więc mój głos podoba się panu?

— Szalenie! Jest to najpiękniejszy głos, jaki kiedykolwiek słyszałem! Dzień, w którym pani dzwoni, jest dla mnie prawdziwym świętem...

— Ho, ho... Jestem wzruszona! Dziwne jednak, że pan dopiero teraz mi o tym mówi. Przecież słyszy mnie pan już od tak dawna...

— To prawda. Ale niech pani weźmie pod uwagę, że zawsze w tym pokoju, akurat naprzeciwko mnie, siedzi mój szef. Dzisiaj wyjątkowo zrobił mi przyjemność i zachorował.

— Ach tak, to co innego....

— Wie pani, o czym marzę już od dawna?

— Niestety nie...

— O spotkaniu z panią. Ciekaw jestem, jak też wygląda właścicielka tego cudownego głosu....

— Hm... Jak pan myśli?

— Na pewno ślicznie... — Czy chciałaby się pani ze mną umówić?

— Owszem. Przyznam się, że i ja jestem zaintrygowana, jak też wygląda człowiek, z którym rozmawiam prawie codziennie.

— Świetnie! — Czy ma pani dzisiaj czas?

— Mam.

— Więc gdzie się spotkamy?

— Gdzie?... Zaraz... Już wiem! W poczekalni kina „Riviera". O godzinie ósmej. Dobrze?

— Wspaniale! Ale jak ja panią poznam?

— Racja. A więc będę miała na sobie zielony żakiecik i zielony kapelusz. A pan?

— Ja ubiorę szary kapelusz i takież palto.

— Dobrze... Ale muszę już przerwać... Mój szef nadchodzi... A więc do widzenia o ósmej!...

— Do widzenia...

Rozległ się trzask odkładanej słuchawki. Emil zatarł ręce. Przygoda zapowiadała się pierwszorzędnie. Co za głos! Jaki melodyjny! Jakie czyste, słodkie brzmienie! Wprawdzie przesadził trochę z tym „świętem", ale dziewczyna naprawdę musi być śliczna. Takie głosy posiadają tylko zachwycające blondynki, o wielkich niebieskich oczach i nogach jak marzenie. Chociaż co prawda Emil znał również pewną czarnooką i kruczowłosą piękność, która także mogła się poszczycić takim czarującym głosem... Emil przypomniał sobie naraz, że zna jeszcze jedną pannę, której głos brzmiał równie pięknie jak głos nieznajomej z telefonu, ale... ona wcale nie była przecież ładną... wręcz przeciwnie, odznaczała się wyjątkową brzydotą.

Nagle przyszło Emilowi na myśl, że przecież jego ciotka Klementyna mówi głosikiem, przypominającym dźwięk srebrnego dzwonka, a wygląda jak wcielenie siedmiu grzechów głównych... Prócz tego liczy sobie 56 wiosen życia... Zastanowił się. Skąd właściwie ta pewność, że pracownica firmy „Czapski i Synowie" jest piękną? Piękny głos jeszcze niczego nie dowodzi... Ciotka też ma ładny głos... A poza tym powszechnie wiadomo, że przez telefon głos ulega zniekształceniu.

Entuzjazm Emila stygł na poczekaniu. Na podstawie brzmienia głosu nie można jeszcze wyrobić sobie zdania co do wyglądu danej osoby. To fakt. Panna więc, z którą tak pochopnie się umówił, może się okazać starą i brzydką. Owszem, może być też i ładną, ale przecież pięknych kobiet jest tak mało... A poza tym jak na piękną pannę, to ona jakoś zbyt prędko zgodziła się na randkę...

Sceptycyzm Emila rósł z każdą chwilą. Zaczął się nawet zastanawiać, czy nie będzie rozsądniej w ogóle zrezygnować ze schadzki. Po namyśle doszedł jednak do przekonania, że pójść musi. A nuż ona rzeczywiście jest młodą i ładną? Jednakowoż należy zapewnić sobie odwrót... Po czym ona go pozna? Po szarym palcie i szarym kapeluszu.

Ubierze wobec tego brązowy kapelusz i brązowe palto... Na szczęście ma ich dwa... W ten sposób on będzie panem sytuacji. Jeśli mu się spodoba — podejdzie do niej. Przecież on ją pozna, a zmianę palta jakoś jej wytłumaczy... Jeżeli zaś okaże się starą lub brzydką, wówczas on, Emil, ulotni się dyskretnie...

— — — — — — — — — — — —

Panna Ada odłożyła słuchawkę, a że szef właśnie przechodził koło jej biurka, gorliwie zabrała się do przerwanej pracy. Myśl jej jednak wybiegała daleko poza biuro... Starała się usprawiedliwić sama przed sobą za swój czyn. Była zła na siebie, że się umówiła. Bynajmniej nie dlatego, że odczuwała jakieś skrupuły: że to nie wypada, aby panna z dobrego domu umawiała się z nieznajomym mężczyzną, którego w dodatku nigdy nie widziała na oczy. Nie! Panna Ada była osobą na wskroś nowoczesną i jako taka, nie uznawała tego rodzaju przesądów. Chodziło jej o coś zupełnie innego. Otóż przypomniała sobie nagle, że firma Romański i Spółka zatrudnia przeważnie starszych, statecznych pracowników. Powiedziała jej to dopiero kilka dni temu jedna z koleżanek biurowych. Jak mogła o tym zapomnieć? Prawda, że za każdym razem, gdy w telefonie odezwał się ten czysty metaliczny głos nieznajomego, przenikał ją jakiś dziwny dreszcz. I dzisiaj też tak było. Zapomniała się. Dała się oczarować przez głos, który może jest głosem starca. Przecież wujek Adolf ma 65 lat, a posiada głos jeszcze ładniejszy. A poza tym przez telefon głos ulega zniekształceniu... Złudzenie słuchowe...

Przejął ją dreszcz. Perspektywa spędzenia wieczoru z jakimś starym, rutynowanym biurokratą przerażała ją. Oczyma wyobraźni ujrzała podtatusiałego jegomościa, w złotych okularach i przykrótkich spodniach, który może będzie ją przez pięć godzin oprowadzał po alejach, zabawiając rozmową o najnowszych ulepszeniach w dziedzinie urządzeń biurowych. Wzdrygnęła się. Randka straciła dla niej cały urok. Mimo to postanowiła, że na nią pójdzie, bo może przecie się myli i jego wygląd odpowiadać będzie obrazowi, jaki już dawno sobie wyimaginowała... Musi jednak zabezpieczyć sobie odwrót. Po prostu więc zamiast zielonego żakietu i zielonego kapelusza, włoży granatowy płaszcz i beret. Jeśli się jej spodoba — dojdzie do niego. Przecież ona go pozna, a zmianę ubioru jakoś mu już wytłumaczy. Jeżeli zaś jego powierzchowność nie przypadnie jej do gustu, wówczas spokojnie przejdzie sobie tuż pod nosem niefortunnego amanta, a on ani się domyśli, że panna w granatowym płaszczu — to właśnie ona...

— — — — — — — — — — — —

Pięć minut po ósmej... Ada wchodzi do eleganckiego foyer kina „Riviera". Seans właśnie się rozpoczął, toteż jasno oświetlona poczekalnia była prawie pusta. Przebywał tam tylko jakiś młody mężczyzna, ubrany w brązowy płaszcz i takiż kapelusz. Widocznie czekał na kogoś gdyż spacerował nerwowo po sali, spoglądając co chwila ku drzwiom. Ada usiadła na jednym z foteli naprzeciwko wejścia, tak, aby mogła obserwować każdego wchodzącego. Minęło pięć minut, a po tym jeszcze pięć... Zaczynała się niecierpliwić...

— — — — — — — — — — — —

Emil nerwowym krokiem przemierzał wszerz i wzdłuż poczekalnię, spoglądając ustawicznie ku wejściu. Zaczynał się denerwować. Piętnaście minut opóźnienia! Ta osóbka zanadto sobie pozwala! Czyżby tu już była i niepostrzeżenie wyszła? Nie, to niemożliwe... Oprócz tej panny w granatowym płaszczu, siedzącej naprzeciw drzwi, nie było tu od chwili rozpoczęcia seansu, żadnej innej samotnej kobiety...

— — — — — — — — — — — —

Ada dygotała z oburzenia. Trzydzieści minut po ósmej! To skandal! Wystrychnął ją na dudka i nie przyszedł wcale. A może lepiej, że się tak stało? Widocznie doszedł do wniosku, że jego widok wywołałby u niej tylko atak śmiechu i dlatego wolał się wycofać... z honorem. Na pewno musi być stary. Jeszcze pięć minut zaczeka... Ten pan w brązowym palcie sprawia wrażenie zdenerwowanego... Widocznie i z niego ktoś sobie zakpił... to ohydne umawiać się i nie przyjść... Brak wychowania... Bardzo przystojny chłopak... Co za energiczny, męski wyraz twarzy...

— — — — — — — — — — — —

Emil po raz setny chyba spojrzał na zegarek... Trzydzieści minut opóźnienia! A więc przeczucia nie myliły go. Widocznie musiała to być jakaś stara i brzydka niewiasta, która się połapała, że widok jej doprowadzić może do jego ucieczki i nie przyszła. Wolała widać zachować złudzenia rozmowy przez telefon... Powinien więc być jej wdzięczny za to... Śliczna dziewczyna z tej panny w granatowym płaszczu... Jak jej do twarzy w bereciku... Na kogo właściwie ona czeka? Nie do pojęcia... [illegible] ką dziewczyną i to pół godziny, to istna zbrodnia! Przeszedł się — niby przypadkowo — tuż koło niej. Miała pięknie wykrojone usta i wielkie ciemne oczy... A spod poły granatowego płaszcza wyglądała cudowna, jakby toczona nóżka...

Ada rzuciła okiem na zegarek i wstała. Spojrzała z ukosa na nieznajomego w brązowym palcie. W tej chwili i on spoglądał na zegarek i on też się zabierał do wyjścia. Poszła naprzód wolnym krokiem. — Zrównali się w drzwiach... ustąpił jej... Podziękowała, a wówczas on przemówił do niej:

— Jeśli się nie mylę, łaskawa pani, to obydwoje „wpadliśmy" dzisiaj...

Próbowała przybrać poważny wyraz twarzy, co jej się jednak nie bardzo udało.

— Nie rozumiem pana...

— Ależ bardzo proste... Czy można wiedzieć na kogo pani czekała?

Ada wiedziała, że dobrze wychowana panna, powinna teraz dumnie wznieść głowę, zmiażdżyć natręta spojrzeniem i przejść mimo, nie zwracając już na niego żadnej uwagi. Jednak tego nie zrobiła...

— Ja... ja... czekałam na koleżankę... Widocznie była bardzo zajętą... A na kcgo pan czekał?

— Ja czekałem na kolegę... Widocznie poszedł odwiedzić swoją ciocię... Wie pani, taka starsza, chorowita osoba... Ale zostawmy już naszych kolegów i koleżanki w spokoju. Czy nie uważa pani raczej, że dwoje ludzi takich, jak my właśnie, których koledzy i koleżanki zostawili, że tak powiem na lodzie, powinno sobie solidarnie podać ręce, pójść dalej i wspólnie postarać się zapomnieć o doznanym zawodzie?

— Ależ my się przecież wcale nie znamy...

— Wobec tego mam zaszczyt się przedstawić: nazywam się Emil!

— A ja Ada — zaśmiała się panna.

W tej chwili już nie miała za złe temu, na którego czekała, że nie przyszedł.

— Co za piękne imię!... Ale co my teraz zrobimy, panno Ado?

— Nie wiem.

— Kino?...

— Hm...

— Widziała pani już ten film, który wyświetlają w tym kinie?

— Nie...

— Wchodzimy? Słyszałem, że jest nadzwyczajny...

— Możemy wejść... Ale pod jednym warunkiem: Ja płacę za bilet.

— Koniecznie?

— Bezwzględnie!

— Ha, trudno, zgoda...

Na drugi dzień biurowy telefon znowu zadzwonił. Emil zdjął słuchawkę.

— Hallo, tu firma Romański i Ska.

— Tu mówi firma Czapski i Synowie — odezwał się głos kobiecy. — Wczoraj zamówiliśmy dwie beczki oliwy „BB", których jednak pan nie raczył dotychczas przesłać. Pozwolę sobie wobec tego zaznaczyć, że interes to nie randka, i że tu trzeba być słownym. Przy okazji czuję się w obowiązku wyrazić panu moje najserdeczniejsze podziękowanie za to, że nie przyszedł pan wczoraj do kina...

— Co??? Ja nie przyszedłem???

— No tak. Pan nie przyszedł.

— A pani była?

— No tak, ja dotrzymuję słowa. Ale strach pomyśleć, co by to było, gdyby i pan był dotrzymał słowa! Nudziłby mnie pan przez cały wieczór, no i nie poznałabym przecież najsympatyczniejszego młodzieńca na kuli ziemskiej. Co za rozkoszny wieczór spędziłam z nim wczoraj!

— A wie pani co, że pani jest bezczelna, i że tak potrafi wykręcić się tylko stara, fantazjująca panna!

— Jak pan śmie!

— No, niech się pani nie denerwuje... Naprawdę nie mam jej za złe, że wczorajsza randka nie doszła do skutku. Ale wprost przeciwnie! Jestem pani nieskończenie za to wdzięczny. Gdyby pani bowiem raczyła się zjawić wczoraj, cały wieczór diabliby wzięli, no i nie poznałbym przecież najrozkoszniejszej dziewczyny pod słońcem. Mówię pani, cud, nie kobieta!

— Nie wyobrażam sobie takiej, która by się zgodziła zawrzeć znajomość z takim idiotą, jak pan.

— Co??? Co pani powiedziała?

— Idiota! I — jak indyk, D — jak dureń, I — jak impertynent, O — jak osioł, T — jak tchórz, A — jak apasz!...

Ostatnich słów Emil już nie słyszał... Z pasją zawieszona słuchawka kołysała się na widełkach telefonu, który nie po raz pierwszy stał się powodem humorystycznych konfliktów.



Zdjęcie na lewo:

Jak w bajce...

Fot. Löhrich

ZE SCEN WARSZAWY

Poniżej:
H. Lewandowska i K. Ostrowski w tangu



COCTAIL GWIAZD W „MASCE" — WOLNE ŻARTY TO ROK 1944 W „FIGARZE"

Dyr. W. Zdzitowiecki nie zapomniał jak wygląda prawdziwa i dobra rewia, toteż po długiej przerwie jaką spowodowały komedie muzyczne, pokazał nam ciekawą i barwną rewietkę. Już od prologu, wygłoszonego przez Zdzitowieckiego, czujemy że wkroczyliśmy do prawdziwego przybytku Melpomeny.

Młoda i utalentowana gwiazdeczka Marrisówna recytuje z dużym przekonaniem „Kulig", barwnie i z werwą (K. Ostrowski i H. Lewandowska) ilustrowany tanecznie przez zespół baletowy. A teraz o stronie wokalnej. Czyż można inaczej niż w superlatywach wyrażać się o takich siłach śpiewaczych jak L. Szczepańska, T. Zakrzewski czy chór Juranda? Humor w programie reprezentują aktorzy tej miary co M. Chmurkowska i J. Mroziński. Chmurkowska wygłasza sentymentalną recytację „Łowy" a lwi pazur swego talentu pokazuje w „Świętach wojennych". Mroziński — to aktor, który potrafi z najbanalniejszej piosenki wydobyć wiele humoru i rozśmieszyć do łez publiczność.

Nad stroną choreograficzną rewii czuwa niezawodny baletmitrz K. Ostrowski, którego niezapomniane inscenizacje pokazane w „Masce" przed dwoma laty wciąż mamy jeszcze przed oczami. Konferansjerkę, jak zwykle kulturalnie i z humorem, prowadził W. Zdzitowiecki, trafne dekoracje namalował E. Marszałek a przy dwóch fortepianach zasiadają K. Bacewicz i M. Cybulski.

*

Teatr „Figaro" daje ciekawą, aktualnym humorem zaprawioną rewię pt. „Wolne żarty to rok 1944". Zespół zgrany a program obliczony na gust stałych bywalców teatrzyku. G. Negro, Perkowska, Bilikówna, Wł. Walter, S. Woliński, E. Nowowiejski zbierają zasłużone brawa. Tańczy balet Z. Zadejki z A. Snieżyńskim na czele.

Strona literacka spoczywa w rękach Cz. Pudłowskiego.

W dniu 13 bm. odbyła się premiera wspaniałej operetki Frimmla „Rose Marie" w teatrze „Jar". Szczegółowe omówienie podamy w nabliższym numerze.

Z. Bakuła

Obok:
Ulubiona pieśniarka Lucyna Szczepańska.

*



Fot. W. Braun

GRA ZE SMIERCIĄ W NURTACH KONGA

ZAKOŃCZENIE

po jego odkrywcy wodospadami Stanleya. Miasto to oddalone jest od wybrzeża oceanu Atlantyckiego w prostej linii o 2000 km, a wzdłuż rzeki do jej ujścia około 3000 km. Przy takiej odległości od wybrzeża, nic dziwnego, że tubylcy, chociaż blisko europejskiego miasta, czują się tutaj „u siebie" jak ich przodkowie sprzed pięciuset lat. Z tą małą jednak różnicą, że rządy europejskie nie pozwolą im na staczanie między plemionami zażartych walk, kończących się wybiciem i... zjedzeniem przeciwnika.

Murzyni pod względem językowym, rasowym, jak również organizacyjnym, nie stanowią wcale jednolitości, jak przeciętnemu białemu wydawałoby się (mówi się przecież „murzyni wszyscy do siebie podobni"). Dzielą się na setki plemion, języków i ras, a odpowiednio do zróżniczkowanych również warunków klimatycznych, na setki odmiennych ugrupowań gospodarczych.

Jedno jest wspólne dla wszystkich murzynów afrykańskich: pierwotność ich kultury, obyczajów, pojęć. Pod tym względem murzyn z Sudanu podobny jest do murzyna znad Nigru, Kongo, czy Zambezi. Obfitość pożywienia z jednej strony w podzwrotnikowych okolicach, a braki ich w pustynnych, wytworzyły typ ludzi nie dążący do postępu. Śladów pisma u ludów afrykańskich nie spotykamy. Potrzebne do zachowania życia wiadomości czerpią z tradycji. W przeciwieństwie do braku życia umysłowego i zainteresowań umysłowych rozwinęło się u ludów afrykańskich głębokie życie uczuciowe, uzewnętrzniające się w wierzeniach, obrzędach; pobudką do działania jest też u nich uczucie.

Murzyni, zamieszkujący Kongo, należą do rodziny językowej Bantu. Rodzina ta dzieli się na kilka typów antropologicznych. Jeden z nich to n i g r y c i: rośli, smukli, długogłowi o bardzo ciemnym zabarwieniu skóry, czarnych oczach i czarnych, kędzierzawych włosach, płaskim, szerokim nosie, grubych wargach, krótkiej i szerokiej twarzy. Inny zaś typ, a u s t r o - a f r y k a ń s k i, do którego prawdopodobnie zaliczają się również i Wageniowie, cechuje niższy wzrost, krępa i muskularna budowa ciała, ciemne zabarwienie skóry i dłuższe kończyny górne niż dolne.

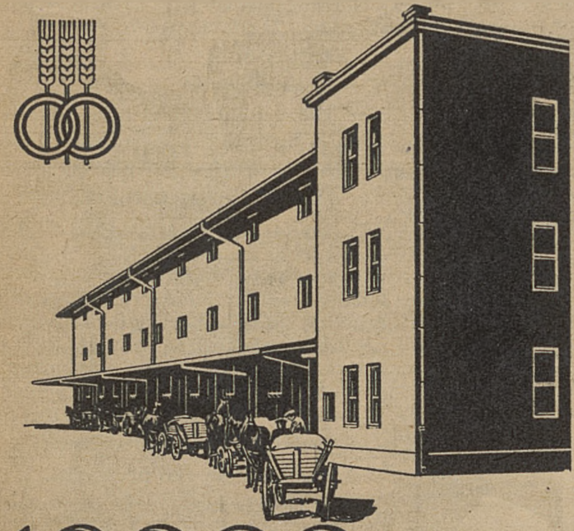
Dumne plemię Wageniów po dziś dzień nie uległo wpływom zewnętrznym. Ani bliskość miasta, ani sąsiedztwo innych plemion, nie zmieniło ich trybu bytowania. Prowadzą życie odosobnione, nawet związki małżeńskie zawierane są tylko w obrębie własnego plemienia, toteż po dziś dzień zachowali czystość swej rasy.

Uzewnętrznia się to w ich pięknej budowie ciała, tryskającej zdrowiem i siłą. Większą część życia spędzają na wodzie, sunąc po niej w długich, wywrotnych, bo z jednej kłody drzewnej zrobionych, lodziach do miejsc, wybranych na połów ryb.

Rybołóstwo jest ich jedynym zajęciem, odziedziczonym z dziada pradziada. I tak jak niegdyś ich przodkowie sprzed tysiąca lat, stawiają oni w poprzek kipiącej topieli prymitywne rusztowania z pali i drągów, powiązanych ze sobą łykiem i na tych chwiejnych „mostach", niebaczni na niebezpieczeństwo, żonglują jak małpy, spuszczając i wyciągając swoje sieci. Specjałem, poszukiwanym przez nich w głębiach rzeki jest „kisangulo", ryba podobna do naszego łososia, o barwie nieco jaśniejszej, a w smaku jeszcze delikatniejsza.

Wageniowie, w przeciwieństwie do innych murzynów, nie są leniwi. Już rano o czwartej godzinie spotkać ich można na swoich rusztowaniach, spuszczających sieci do wody. O godzinie drugiej w południe opróżniają sieci z obfitego połowu, po czym na nowo spuszczają je w głębokie nurty rzeki (rzeka Kongo u ujścia swojego ma 300 m głębokości, w średnim swym biegu zaś głębokość jej sięga do 100 m), ażeby opróżnić je po raz wtóry około północy.

...a czarna otchłań Konga przyjaźnie przyjmuje swoich odwiecznych towarzyszy, tak jak oni dzika, pierwotna, nieokiełzana.





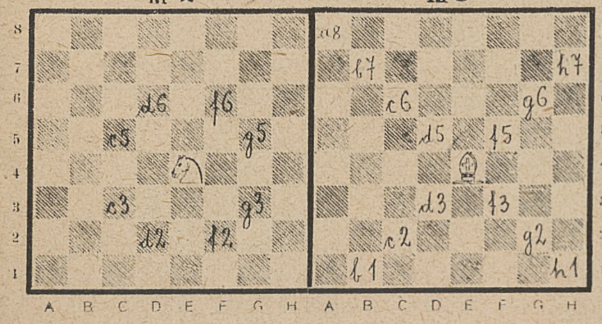
KĄCIK SZACHOWY NR 3

CZĘŚĆ ELEMENTARNA

Skoczek. Rodzajem chodu skoczka jest skok ograniczony ścisłymi prawidłami (patrz diagram Nr. 2), który można by określić w następujący sposób: porusza się on w każdym kierunku: w górę na prawo lub na lewo, w dół na prawo lub na lewo, w ten sposób, że robi skok o 2 pola w kierunku prostym, oraz jeden w kierunku bocznym w prawo lub w lewo, w bok zaś na prawo lub w lewo w ten sposób, że skacze o jedno pole w górę i z tego pola o 2 pola w bok na prawo, lub na lewo, albo o jedno pole w dół i stamtąd o 2 pola na prawo, lub na lewo. Skoczek z pozycji diagramu Nr. 2 może iść (skoczyć) z pola e4 na każde pole, oznaczone literą i cyfrą. Skoczek może więc przeskoczyć przez bierkę swoją, lub przeciwnika (nie zatracając charakteru swego chodu, tj. w ten sam sposób, jakby na drodze jej nie było niczego) na miejsce jej nie może jednak skoczyć, chyba, że byłaby to bierka przeciwnika, którą by mógł bić w tym wypadku, gdyby ona stała na końcowym polu jego działania (a więc na diagramie Nr. 2 gdyby obca bierka stała na jednym z pól: c5, d6, f6, g5, g3, f2, d2 lub c3).

Goniec. Goniec opanowuje kierunek skośny (patrz diagram Nr. 3), porusza się więc zawsze po polach tej samej barwy, z której pochodzi. Każdy z partnerów ma więc, jak się to mówi po jednym gońcu białym i po jednym gońcu czarnym. Goniec biały białych jest gońcem królewskim, goniec biały czarnych jest gońcem hetmańskim, goniec czarny białych jest gońcem hetmańskim, goniec czarny czarnych jest gońcem królewskim. Goniec biały porusza się po białych polach skośnych (tzw. przekątniach), goniec czarny porusza się po przekątniach czarnych. W pozycji diagramu Nr. 3 goniec z pola e4 może iść na każde pole, oznaczone literą i cyfrą. Jeśliby jednak np. pole g6 było zajęte przez białą bierkę, to w kierunku tej przekątni w górę na prawo może goniec dojść tylko na pole f5. Jeśliby na polu g6 stała bierka czarna to goniec z pola e4 może (lecz nie musi) ją bić. W obu wypadkach jest pole h7 dla gońca niedostępnym.

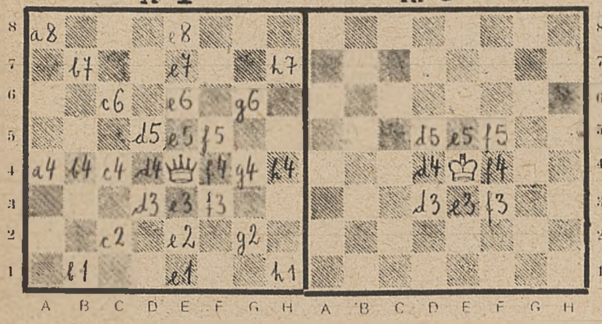
Nr 2 Nr 3



Hetman. Hetman jednoczy w sobie ruchy wieży i gońca, tzn. może poruszać się we wszystkich kierunkach poziomych i pionowych tj. tak, jak wieża albo też we wszystkich kierunkach skośnych (przekątniach) na prawo lub lewo, w górę lub w dół tj. tak, jak goniec (patrz diagram Nr. 4). Litery i cyfry oznaczają na diagramie Nr. 4 pola działania hetmana. Oczywiście o ile na drodze swego kierunku działania napotka hetman bierkę swego obozu to może poruszyć się w tym kierunku tylko do pola, zajmowanego przez tą bierkę (dalej na to lub poza to pole nie może iść). Jeśli na polu swego kierunku działania napotka na obcą bierkę to może (lecz nie musi) ją zabić.

Król. Król idzie i bije we wszystkich kierunkach poziomych i pionowych i skośnych (przekątniach), lecz tylko o jedno pole (patrz diagram Nr. 5). Wszystkie więc pola w sąsiedztwie, otaczające pole, na którym znajduje się król są mu dostępne. Z pola e4, jak na diagramie Nr. 5 może król iść na 8 pól, oznaczonych literą i cyfrą. Król różni się od wszystkich innych bierek tym, że nie może udać się na żadne pole, na którym mogłaby go zabić bierka przeciwnika. Jeśliby np. na polu f6 stał król czarny (na diagramie Nr. 5) wówczas pola e5 i f5 byłyby niedostępne dla króla białego.

Nr 4 Nr 5



CZĘŚĆ OGÓLNA

Studium (końcówka) Nr 1.

K. A. L. Kubbel (Nr 149 zbioru)

Czarne: Kf8, piony: e5, f6, h5 (4).
Białe: Kc8, Gf7, piony: g6 i h3 (4).
Białe zaczynają i wygrywają.

Rozwiązanie pozycji z partii kącika szachowego nr 35 ub. r.: 1. W×f7! K×f7 2. G—c4+ K—f8 (A) 3. G×g7+ K×g7 H—e7+ K—g6 (B) 5. G×f7+ K—g7 6. G—e8+ K—g8 7. H—f7+ K—h8 8. H—f8 mat.

(A) 2 . . . K—g6 3. H—e6+ K—h5 (K—g5 4. H—e7+) 4. G—e2+ K—h4 5. H×c6 i wygrywa.

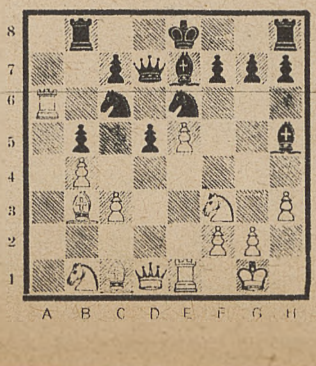
(B) 4 . . . K—h6 5. H—f6+ i wygrywa.

W zeszycie 11 Deut. Schachzeit. z r. 1939 opublikowano partię Wolf—Grünfeld, w której zastosowano petersburski wariant partii hiszpańskiej, co do którego już w r. 1921 na łamach „Österreichische Schachrundschau zwrócił Grünfeld uwagę, że wariant ten (obrona) wydaje mu się podejrzanym. Nie wiele jest partii znanych, granych w ten sposób. Po: 1. e2—e4 e7—e5 2. Sg1—f3 Sb8—c6 3. Gf1—b5 a7—a6 4. Gb5—a4 Sg8—f6 5. 0—0 Sf6×e4 6. d2—d4 b —b5 7. Ga4—b3 d7—d5 8. d4×e5 Gc8—e6 9. c2—c3 Gf8—e7 10. Wf1—e1 Se4—c5 11. Gb3—c2 Ge6—g4 (ostatnie dwa ruchy zawierają porządek ruchów petersburski, grany w r. 1914 przez Em. Laskera) i teraz nie 12. Sb1—d2 jest najlepszym ruchem, lecz 12. b2—b4 Sc5—e6 13. a2—a4 Wa8—b8 14. a4×b5 a6×b5 15. Wa1—a6 Hd8—d7 16. h2—h3! Gg4—h5 17. Gc2—b3 (patrz diagram).

Teraz rozwidlają się drogi.

17 . . . d5—d4 obala Leonhardt w następujący sposób: 18. Gb3×e6 Hd7×e6! 19. Wa6×c6! He6×c6 20. Sf3×d4 Hc6—g6 21. g2—g4 Hg6×b1 22. g4×h5 0—0 23. Hd1—e2!! i wygrywa.

Tarrasch grał przeciw Teichmannowi (t. Wrocław 1913) 17 . . . Wa8—d8 18. Sb1—a3 (także 18. Hd1×d5 było dobrym) 0—0 19. Sa3—c2 Sc6—b8 z rzekomą przewagą, według ówczesnych komentatorów. Białe grają jednak 20. Wa6—a7 Hd7—c6 21. Sc2—d4! teraz czarne nie mogą bić piona c, gdyż w razie 21 . . . Hc6×c3 22. g2—g4 Gh5—g6 23. We1—e3 Hc3×b4 24. Ge1—a3! czarne przegrałyby odrazu, a po 21 . . . Hc6—b6, co polecał Tarrasch, jako najlepszy ruch, nastąpiłoby 22. Gc1—e3! Hb6×a7 23. Sd4×e6 Ha7—b7 24. Se6×f8 Ge7×f8 25. Ge3—d4 i ewentualnie 26. e5—e6 i białe miałyby wspaniałą pozycję.



Byłoby wskazanym zbadanie, czy 12. Sb1—d2 nie niweczy w ogóle całej przewagi białych.

— Jak ci smakuje mój placek świąteczny?
— Dziękuję, on smakuje całkiem tak samo, jak ten, o którym zawsze moja babcia mawiała do mamy, że ani się umył do tego, który piekła jej matka.

*

— Nie wiesz z jakiego powodu Hela zaczęła naraz zezować?
— Na Boże Narodzenie otrzymała w prezencie książkę z tysiącem krzyżówek. Ucieszona, rozwiązywała je bez przerwy i teraz patrzy jednym okiem stale w kierunku poziomym, a drugim w pionowym.

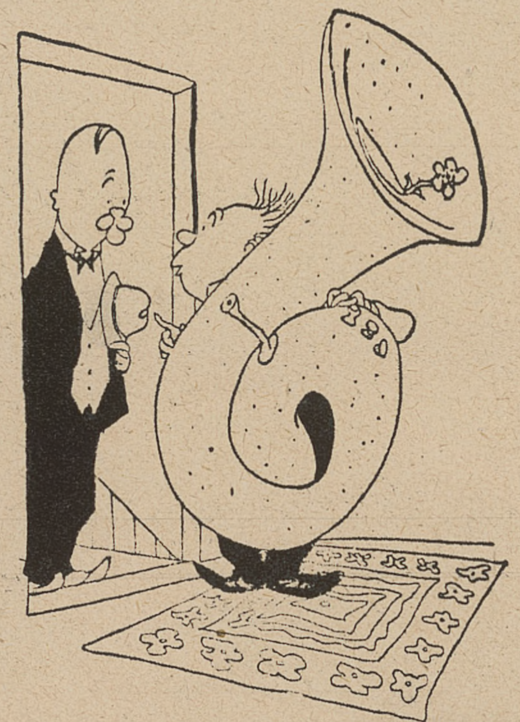
*

— Mój narzeczony przyrzekł mi, że pójdziemy na Nowy Rok do teatru. Tyś już był na tej komedii, czy można na niej się uśmiać?
— Oczywiście. Już przy kasie możesz się śmiać, o ile dostaniesz bilet.

*

Nauczycielka pyta małego Janka: — Gdzie mieszkasz? Jak się nazywasz? Czym jest twój ojciec?
Na to Janek dziwi się: — Proszę mi powiedzieć, proszę pani, dlaczego robi się tutaj wywiady?

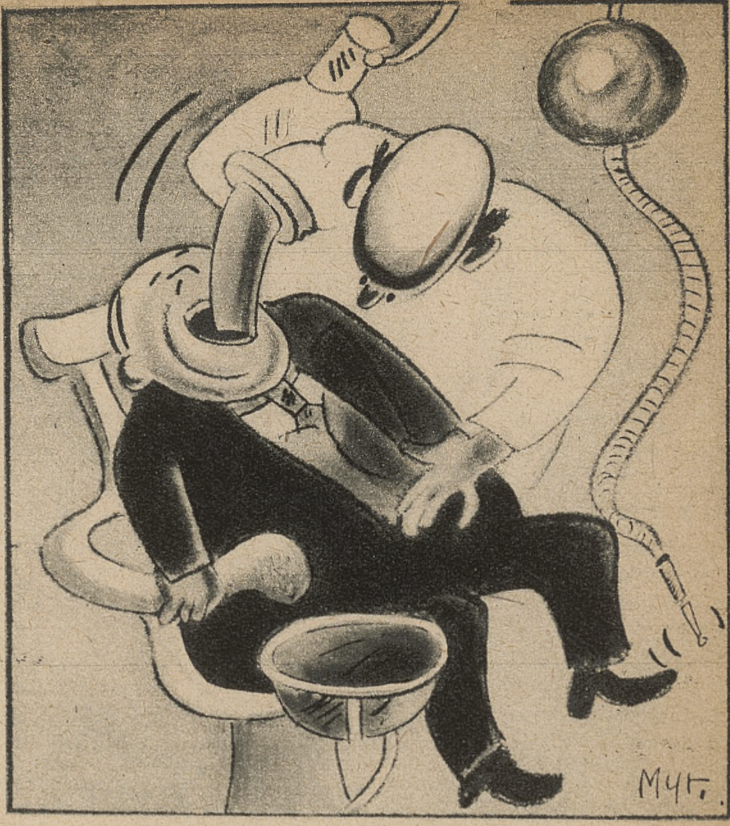
ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE



MIĘDZY LOKATORAMI

— Niech pan ma wzgląd łaskawy panie, tu obok w sąsiednim pokoju leży chory.
— Pana źle skierowano, ja nie jestem lekarzem, tylko basistą koncertowym...

Weltwoche-Szwajcaria



— Jeżeli tutaj dotykam, czy to pana boli?
— Oooch tak!
— Z tego widać, że pan się źle zorientował co do swych boleści, bo to jest ślepa kiszka... a ja jestem tylko dentystą...

Die Woche

— Musimy koniecznie odwiedzić w tę niedzielę ciotkę Teofilę.
— Skąd ci tak nagle przyszła ochota do odwiedzenia jej. Przecież zawsze denerwuje cię ona swą gadaniną, plotkowaniem i skargami.
— Widzisz, właśnie się dowiedziałam, że ma taką chrypkę, iż ani słowa przemówić nie może.

*

— Odegrałam właśnie uwerturę do Aidy, cobyś teraz chciał usłyszeć.
— Głośne zatrzaśnięcie wieka od fortepianu.

*

— Czy pomogły panu krople do oczu, które ostatnim razem zapisałem?
— Panie doktorze, muszę szczerze wyznać panu, że ani troszeczkę. A prócz tego mają smak obrzydliwy.

*

— Co porabia twoja narzeczona, musisz być bardzo szczęśliwy, gdyż jest to wyjątkowo, piękna, miła i bogata dziewczyna?
— Zerwała ze mną zaręczyny, gdyż światowej sławy grafolog odradził jej zaślubienie mnie.
— A co ona teraz porabia?
— Obecnie wyszła zamąż za tego właśnie grafologa.

— Co za piękny portret. To pewno pani pierwszy małżonek?
— Tak, to znaczy był nim, a od czasu gdy wyszłam zamąż za jego brata jest moim szwagrem.

*

Widząc bardzo smutną minę jednego z poetów dramatycznych zapytuje go przyjaciel:
— Cóż to twoja tragedia nie odniosła żadnego sukcesu?
— Niestety nie — odpowiada poeta — publiczność zanosiła się od śmiechu w najbardziej dramatycznych miejscach, a jedynie dyrektor płakał z rozpaczy.

*

Hrabia Bobby spotyka swego przyjaciela Rudolfa:
— Czy wiesz, Rudolfie, że Karol został wdowcem?
— To nie możliwe, gdyż Karol nigdy nie był żonatym.
— A jednak od wczoraj jest wdowcem.
— W jaki sposób?
— Ożenił się wczoraj z pewną wdową, więc jako mąż wdowy jest wdowcem.

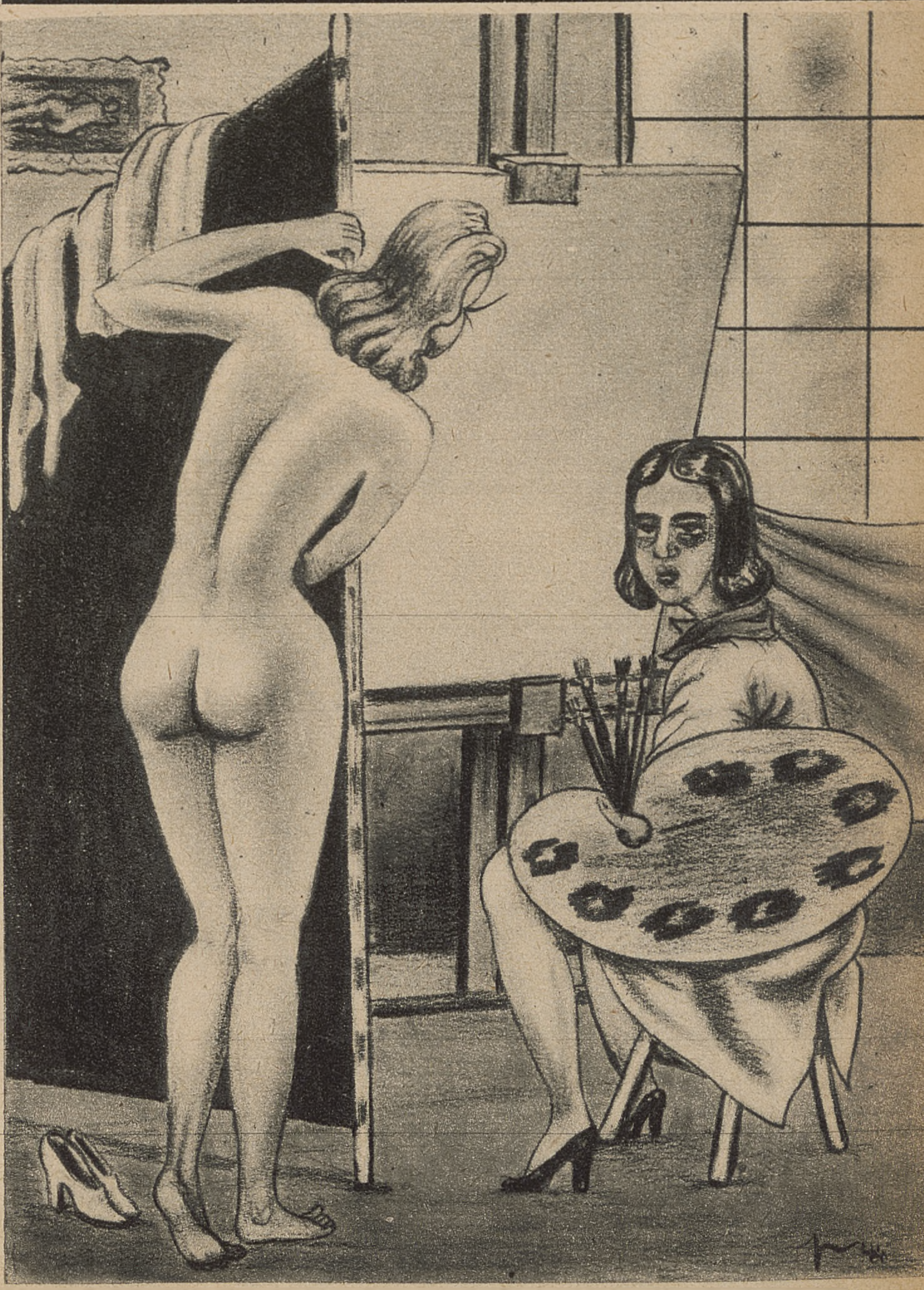
*

Pan Onufry z powodu pijaństwa staje przed sądem.
— To nieprawda co mówi ten posterunkowy, niech pan sędzia przesłucha drugiego posterunkowego, który był przy tym.
— Ale tylko ten jeden był świadkiem awantury, którą pan po pijanemu wyprawiał.
— Widziałem przecież dwóch.
— Dlatego też pan stoi teraz tu przede mną.

*

Poznali się w noc sylwestrową. Przy rozstaniu pyta Tonio:
— Czy mogę zaprowadzić cię do domu Ewo?
Ewa odpowiedziała: — Mam duże zaufanie do ciebie, Toniu, ale mimo to przyrzeknij mi, że nie pójdziesz za daleko.
Tonio przyrzeka: — Na pewno niedaleko. Tylko do tej małej ławeczki, ukrytej tam w cieniu drzew.

KĄCIK KARYKATURZYSTY



Malarka: — Dlaczego się pani tak bardzo żenuje? Przecież pani już wiele razy pozowała jako modelka!
— No tak... ale tylko mężczyznom!...

Rys. Józef Paluch — Kraków

AKROBATYKA NA LODZIE



Nasze zdjęcia przedstawiają znaną włoską, parę rodzeństwa-Duxa, która nie tylko w swej ojczyźnie, lecz także w Niemczech i w zaprzyjaźnionych państwach, dzięki swym wysoce artystycznym produkcjom na lodzie, zdobyła serca wszystkich miłośników sportu łyżwiarskiego.

To, co ci sympatyczni goście ze słonecznego Południa pokazują na lodzie, przewyższa pod względem swojej śmiałości i ryzyka, wszystko; co dotychczas było w tej dziedzinie pokazane.

Ambicją tych artystów jest, pokazać numery na wskróś oryginalne i nowe.

W nieustannym treningu, wkładając dużo pilności i żmudnej pracy nad sobą, starają się być stale w dobrej formie.

Istotnie numery swe opracowują oni przy dokładnym obliczeniu praw fizyki i matematyki, harmonizując wszystkie swoje ruchy razem wzięte w jedną idealną całość.

Na lewo:
Efektowna figura akrobatyczna, do której można dojść jedynie przez długie ćwiczenia i wprawę.

Szacunek i podziw, dla tych, tańczących na tafli lodowej niby płatki śniegu podczas wiatru, mistrzów, rośnie tym większy, gdy przypomnimy sobie, że my w naszych sztuczkach na lodzie doszliśmy zaledwie do „holendra" i ani rusz dalej się nie udało. A już pzypadkowy skok czy też wykrętas, był czynem wprost bohaterskim.

Fot: Eurofot



Na prawo:
Jest to wyczyn wymagający opanowania wszystkich ścięgien i mięśni. Tu nie ma mowy o żadnej improwizacji.



Na lewo:
Figura ta wymaga od artysty naprężenia wszystkich sił, wyczucia równowagi i wybitnej zręczności, dzięki której potrafi wypuszczoną z rąk partnerkę powtórnie złapać w powietzu.



Wykonana w zawrotnym wirze taneczna figura (na prawo), oparta raczej na doskonałej znajomości praw równowagi i siły odśrodkowej niż na sile mięśni.